Rok I. Lwów, sobota 19. stycznia 1907. Nr. 4.

GONIEC POLSKI

1 cent — 2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . 50 hal. numer pojedynczy 2 „

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . 1 K numer pojedynczy . . 4 h

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz nonparellem. ◆ Redakcya i Administr.: Lwów, Krzywa 6. — Nr. tel. 977. ◆ Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Błędni rycerze.

Jeszcze do wyborów kilka miesięcy, może i pół roku nawet, jeszcze stary parlament dyszy i parę ważnych kwestyi ma do załatwienia, a już głowy i umysły naszych działaczy politycznych zajęte są tem, jak wejść w skład nowego parlamentu, jakimi środkami utorować sobie drogę do niego. A to, co się już teraz dzieje, daje mdły przedsmak tego, co się podczas samych wyborów dziać będzie.

Dopuszczeni zostaną do głosowania wszyscy, ale byłoby fałszywą konkluzyą wnioskować z tego, że wybrani przez to powszechne głosowanie reprezentanci ludu będą prawdziwym wyrazem jego uczuć i woli. Nigdzie terror i korrupcya niemają takiego pola do popisu, tak podatnego dla siebie terenu, jak właśnie wśród tych bezwzględnie powszechnych i nierozróżniczkowanych mas wyborczych. I dlatego słusznie w swej mowie parlamentarnej zauważył bar. Beck, że w skład nowego parlamentu wejdą ci tylko, którzy wielkimi ofiarami pieniężnemi zdobędą sobie popularność w danym okręgu, albo wielkim nakładem pracy i kapitału zorganizują i rozwiną doskonały aparat wyborczy.

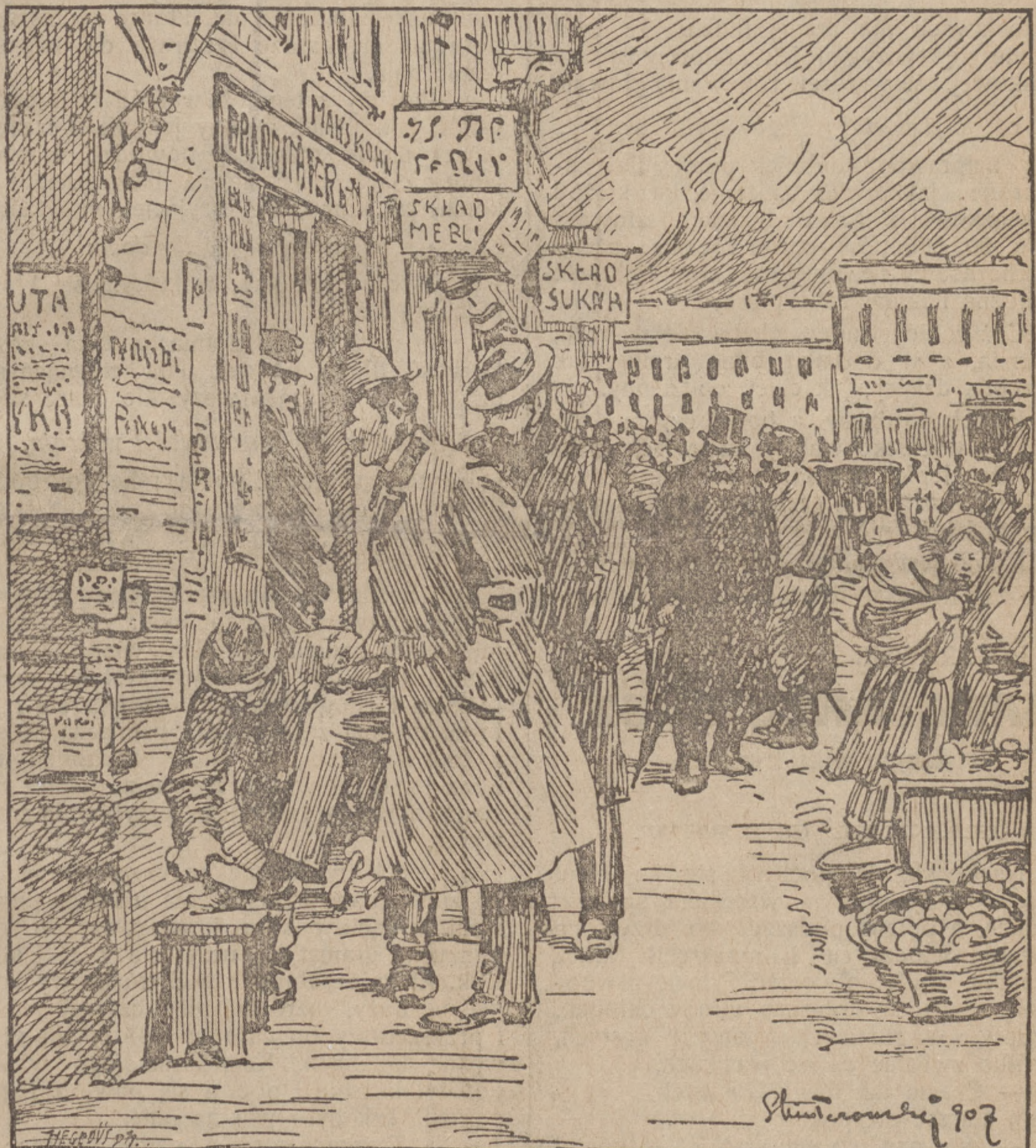
Robota ta już dzisiaj rzuca swe cienie. Konserwatyści przedzierżgają się powoli i nieznacznie w półradykałów. Czynią to nie z przekonania, tylko z wyrachowania, powodowani nie sumieniem, tylko ambicyą, nie chęcią służenia dobrej sprawie, ale raczej dla własnych interesów i osobistej karyery. I to jest najsmutniejszą stroną nowej konfiguracyi wyborczej, a na ludzi, którzy tą drogą chcą się znów wysunąć na arenę życia publicznego, opinia dziś już pokazuje palcami, z ironią i z lekceważeniem.

I nie znajdzie się może nikt, ktoby pod starym sztandarem kroczył do nowego boju. A jeżli kto wytrwa w swych przekonaniach, ten przynajmniej nową zbroję przywdzieje, jak to uczynił centralny komitet wyborczy, który się szumnie i trochę po tromtdracku „Radą narodową“ obwołał.

W stronnictwach panuje chaos i niezdecydowanie. „Czas zacząć“ myśli niejeden z panem Wołodyjowskim, a jednak obawia się pierwszego kroku, niezna hasła, nieobrał barwy, pod jaką szanse zwycięstwa zdają się być najlepsze.

Jedyni socyaliści kroczą naprzód, pewni siebie, i niosą sztandar już zdobyty: powszechne prawo głosowania. Ale na tym sztandarze niema jeszcze nic wypisanego. Czas wielki, aby ci, którzy mają coś do powiedzenia, odezwali się, i z nowymi, pełnymi treści na przyszłość wystąpili hasłami. Milczenie jest niemocą, jest brakiem zaufania i niewiary w siebie samego. Dziś już należy rozpalić głownię, która przyszłą drogę ma rozświecać, bo rozpalona później zgaśnie łatwo w wichurze, jaka powoli zrywać się poczyna.

Pucobut na pl. Gołuchowskich.



U nas i na świecie.

Życie i energię, dogorywającej Rady państwa, możnaby do cudów zaliczyć, gdyby w niej nie było jednostek, grup, a nawet stronnict całych, które

czując się zagrożeni w dalszem posiadaniu

mandatów, znaczenia i wpływów, urządzają obecnie formalne wyścigi w przypodobaniu się wyborcom, i z rozpuszczonymi żaglami płyną z wiatrem, jaki ku nim z miecha interesów krajowych dmucha.

Przed nieznaną przykrością w strachu, uznały zgodnie wszystkie stronnictwa, że do walki o nowe mandaty, które tylko

z woli ludu

dostać będzie można, trzeba będzie stanąć przed tym ludem, z czemś namacalnem w ręce: że nie wystarczą już „obiecanki

cacanki", potok słów, szumne frazesy, żywa giestykulacya, a czasem i straszne zaklęcie, ale że trzeba będzie pokazać i powiedzieć:

zrobiliśmy i przynosimy

wam to i to: powiedzcie czego chcecie jeszcze, a wedle sił i możności naszej obiecujemy spełnić waszą wolę.

A trzeba przyznać, że w ostatnich czasach zrobiono istotnie wiele.

Nie będziemy poruszać spraw, o których Czytelnicy nasi już wiedzą, a które już w tym roku załatwiono w Radzie państwa, zaznaczymy tu jednak dzisiaj, że znowu

dwie ogromnie ważne sprawy

rozpatrywano onegdaj w komisyi wojskowej. Oto przed przyjęciem kontyngentu rekruta, dał minister obrony krajowej

najuroczystsze i najsolenniejsze przyrzeczenie,

że będzie odtąd jak najwydatniej popierał

krajowy przemysł i rolnictwo

w dostawach dla armii; tudzież, że rząd zajmuje się rewizyą projektu reformy ustawy wojskowej, i że wszczęte rokowania głównie

co do dwuletniej służby wojskowej

będą najprawdopodobniej pomyślnie zakończone, jakkolwiek zniżenie lat służby obowiązkowej z 3 na 2, będzie kosztowało około 50 milionów koron rocznie, ażeby dotychczasowy liczebny stan armii i bitność jej można i nadal zabezpieczyć.

Cóż robić; trudno chyba nie wierzyć, że armia, a w dodatku bitna armia, tak potrzebna dzisiaj, jak chleb codzienny.

Przecie widzimy, a bodaj czytamy co dnia, że wszystko walczy na świecie, i że ten walczy lepiej, prędzej i z pomyślniejszym skutkiem, kto ma więcej siły, więcej sprytu i lepszą broń, niż przeciwnik.

A tyle jest tych przeciwników na świecie, co czyhają nietylko na zdrowie, ale nawet na całość naszego kraju i państwa.

I tak kochani nasi sąsiedzi i bratankowie z południa — bardzo się gryzą tem, że zaczynamy — choć późno — pracować, i radziby dalej

słabej i zdezorganizowanej Radzie państwa

dyktować swoją wolę i kierować sprawami austryackiemi;

poczciwy sprzymierzeniec krzyżacki

czeka tylko chwili sposobnej, by butną swą stopę oprzeć o brzegi Dunaju, a skłopotany i dobrze pokąsany obecnie przez rój pszczół

stary, północny, wypróbowany przyjaciel

jakżeby on rad pogodzić knutem, a nahajką spór

polsko-ruski

o gruszki na wierzbie u sąsiada. Więc armii potrzeba, ażeby powściągnąć nietylko apetyty wielkich sąsiadów, ale zarazem ażeby pogrozić czasem tym mniejszym i młodszym braciszkom, którzy z dalszego południa nie bardzo życzliwie do nas się uśmiechają.

Widzimy z tego, że w śród tych przyjaciół, jakkolwiek żyjemy jeszcze i czasem nawet nieźle nam się powodzi, musimy jednak ciągle mieć się na baczności, boć komu, jak komu, ale przyjacielowi właśnie

najłatwiej wejść do domu

i to jeszcze do domu, w którym się kłócą o marną kość.

Bo czyż to nie kłótnia o taką kość, ta waść długa, bo całe lata ciągnąca się już, ta tak niszcząca wszystkie nasze siły

walka dwóch narodowości w kraju,

które zamiast podać sobie rękę do zgody, do pracy organicznej, zamiast skupić się około słabego, ale przecież swojego ogniska, wyszukują sobie wzajemnie grzechy pradziadów i prababek, a wyszukawszy, ważą je najsubtelniej, ale każdy na swojej wadze i swoim ciężarkiem, wskutek czego naturalnie każda waga pokazuje co innego.

A przecież możnaby znaleźć wspólną jedną wagę! — Och! jest ona — jest; ale nazywa się

dobro kraju i szczęście narodu

a nie ambicya, prywata, chęć władzy, ślepota, partyjność i wszystko, wszystko inne, tylko nie prawdziwa miłość tej nieszczęśliwej Ojczyzny, dla której były porywy chwilowe, były męczęństwa i strugi ofiarnej krwi, ale niestety i ta krew nawet przelana kłuciła się ze sobą i krzyczała:

ty jako chamska idź na spód

i użyźniaj grunt, bo tylko mnie szlacheckiej wolno i przystoi rubinami ofiarnymi świecić do słońca.

I rzeczywiście jedna użyźniła grunt, a druga, świecąc do słońca zblakowała.

Ale i ta, co grunt użyźniła, że się z niezgody urodziła

niezgodę także przyniosła,

i dlatego, żremy się i trawimy między sobą, dlatego—wywalczona równość na papierze ustawowym, jedności nam nietylko nie przyniosła, ale i nie tak prędko przyniesie, dlatego

upragniona, prawdziwa wiosna ludów

nie tak prędko jeszcze pokaże nam rąbek swego słońca.

Co dzień niesie?

Podrożenie opłat pocztowych mnie, osobiście, bardzo ucieszyło. Przedewszystkiem dlatego, że moi wierzyciele nie będą mi się już tak naprzykrzać o swoje pieniądze. Niejeden sobie pomyśli: szkoda pięciu

---

ST. POŻAROWSKI. 4

HANDLARZE DUSZ

Galicyjska powieść kryminalna.

I.

HANDEL O KREW.

Nagle starzec pochylił się ku oknu i żywiej połyskującym wzrokiem spojrzał na ulicę, a potem podszedł do drzwi, na kurytarz wiodących i przekręcił klucz w zamku, aby je otworzyć. Prawie równocześnie stanął w drzwiach młody chłopak, szczupły, o rumianej twarzy i gęstych, w kółko zwijających się wąsikach.

— Czemu tak biegłeś, Kostek — spytał go starzec niespokojnie.

— Wie pan, co się stało? — spytał chłopak, nie mogąc złapać tchu. — Czarny po drodze do Wiśnicza uciekł żandarmowi — i to jak uciekł! Podobno temu olbrzymowi, cośmy go widzieli, jak ich na kolej prowadzono, odgryzł palec i jak pies z łańcuszkiem poszedł w las. Żandarm rypał do niego z karabinu parę razy, ale go chybił.

— Oszalałeś, mój chłopcze! Któż ci to powiedział?

— Ten pan, który chodził z nami do sądu. Kazał mi nawet oddać panu list. O, tu jest.

Starzec pochwycił kopertę, rozdarł ją nerwowo i począł przebiegać pismo, a w miarę jak czytał, twarz jego zalewała krew i ręce drżały febrycznie.

— Więc uciekł! Chwałaż Ci, Panie wiekuisty! — zawołał i list bezwładnie z rąk wypuścił.

— Jakto? więc pan się cieszy z tego?

Starzec na te słowa chłopca zmieszał się i nic już nie mówił. Ale w całem jego, dotąd martwem usposobieniu, zaszła zdumiewająca zmiana. Chodził wielkimi krokami po pokoju, niekiedy przystawał przed łóżkiem i spoglądał na skórę tygrysią i na broń, na niej zawieszoną, uśmiechając się z zadowoleniem, to znów dochodził do okna i patrzył w dal, zielonemi polami zasianą, a wtedy twarz jego przybierała srogi wyraz.

Kostek widocznie przyzwyczajony do tej zmienności usposobienia u swego pana, siadł w kącie pokoju i wziąwszy do ręki francuską gramatykę, uczył się z niej słówek. Ale niezadługo z pod łóżka wyczołgał się duży, rozrosły, pies czarnej maści i przyszedłszy do chłopca położył mu głowę na kolanach. Kostek na jego widok odłożył książkę i począł się bawić z Lampartem. Tak było psu na imię.

— Kostku — rzekł nagle starzec — przygotuj nasze kuferki. Jeszcze dziś musimy wyjechać.

Chłopiec ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na mówiącego.

— Toć pan mówił, że najmniej trzy lata nie będziemy się stąd ruszali.

— Wola Opatrzności inaczej zrządziła. Musimy się udać w drogę uciążliwą, a może i niebezpieczną.

— Ale Lamparta weźmiemy ze sobą?

— Naturalnie. On nam bardziej będzie potrzebny niż wszystko inne.

Pies, usłyszawszy swoje nazwisko, podniósł łeb do góry, i spoglądał uważnie na mówiących. Starzec zbliżył się do niego i ujął jego mądrą głowę w swe wychudłe ręce.

— Będziesz miał znowu robotę, huncwocie ty! A wiem, że sprawy nie pokpisz, że ciebie nigdy twój instynkt nie zawiedzie.

Pies na te słowa kręcił radośnie ogonem, jakby przytwierdzając swojemu panu.

Kostek wydobył ze szafy tymczasem mały, ale bardzo pakowny kufereczek ręczny, rozłożył go na stole i spytał:

— A co zapakować?

— Tylko co najpotrzebniejsze, mój Kostku, bo im dalszą droga nasza być może, tem mniej bagaże przeszkadzać nam powinny.

To powiedziawszy przystąpił do łóżka i począł ze ściany zdejmować broń, jak rewolwery, kordalas, bokser, kastety, chowając je bądź to do kieszeni swojego ubrania, bądź do torby podróżnej, jaką się przewiesza przez ramię.

Ale za chwilę rozśmiał się i począł znów ten nadmiar broni wyładowywać.

— Jaki ja dziecinny! Przecież to Galicya, nie Ameryka — rzekł sam do siebie.

I zamiast całego arsenału, schował do kieszeni dwa małe rewolwery tylko, długi nóż składany i bokser.

— Panie, a moja pukawka! — zawołał Kostek, przyskakując do niego.

— Prawda, byłbym o tobie zapomniał.

Przy tych słowach podal mu rewolwer drobnego zupełnie kalibru, ale była to broń straszna, bo wyrzucała na daleką odległość podługowate kule stalowe zapomocą bezdymnego prochu.

Chłopiec przypasał sobie futerał do boku pod żakietem i schował do niego rewolwer. Z drugiej strony miał u rzemienia torebkę z nabojami. Gdy zaś skończył układanie w kuferku bielizny i innych potrzebnych do podróży przyborów, spakowali rzeczy i pojechali na kolej. Starzec nie zdradzał się przed Kostkiem dokąd jadą. Pies skakał przed nimi z radością, ciesząc się, że użyje ruchu i wolności.

(C. d. n.)

centów! (upomnień na korespondentce wogóle nieprzyjmuję). W ten sposób poczta szkodzi sobie, nie mnie, i rząd, który podjął się oddłużenia urzędników, jeżeli tamtych uratuje, to siebie zgubi. Zredukują się protesty wekslowe, zmaleje popyt na stemple, c. k. notaryusze pobankrutują, a połowa adwokatów przystanie do towarzyszy i będą bić policyantów pod Mickiewiczem, których rząd musi potem kurować, sprawiać im nowe czaka i półksiężyce, co przecież kosztuje ciężkie pieniądze. Ztąd wniosek prosty, że tylko to państwo może prosperować, którego obywatele po uszy w długach siedzą, a gdy rządowi dobrze się powodzi, to i jego poddanym nieźle dziać się musi.

Gdy jednak rząd, mimo tak pojedynczej matematyki budżetowej, głupstwa robi i za uszy z lichwiarskich długów chce nas wydobyć, to godzę się zupełnie na rewolucyę, jaką przygotowujemy, a której kuźnią, według prasy hakatystycznej, jest Szwajcarya. Kuźnia bardzo mądrze obrana. W Szwajcaryi jest równość i wolność. Tam król serbski Piotr uknuł plan detronizacyi Obrenowiczów *auf Nimmerwiedersehen*, do Szwajcaryi uciekał zawsze Daszyński, gdy skończyła się kadencya parlamentarna, a z nią jego nietykalność poselska.

Mając taki pewny teren pod nogami, możemy podjąć wojnę z trójcesartwem. „Bojowców“ nam niebrak, tylko trzeba ich uwolnić z kryminału. Najlepiej w drodze interpelacyi do ministra sprawiedliwości. Gdyby to nie pomogło, ogłośmy powszechny strejk i urządźmy demonstracyę na rzecz naszych bohaterów narodowych. Możnaby zwołać w tym celu pięćset zgromadzeń, t. j. do każdego szynku jedno. Takich paręset sejmików prędzej się uda, niż jeden wiec generalny na placu Gosiewskiego, gdzie się tylko serca rozpalają, a wnętrza rozgrzać niema czem.

Pucobut na pl. Gołuchowskich.

(Do ryciny na 1 stronie).

Ojczyzną pucobutów jest Ameryka, a głównie Nowy Jork. Jest to na tamtej półkuli ostatni stopień zarobkowości. Kto do szczętu przegrał kampanię życiową, ten bierze szczotkę i czernidło, i staje na ulicy, aby za parę centymów czyścić przechodniom zabłocone obuwie. Stósownie zaś do miejsca i pory, zajęcie to może się stać bardzo intratnem. Bo Amerykanie dbają o czystość i starają się być czystymi nie dla drugich, ale przedewszystkiem dla siebie samych.

We Lwowie mamy pucobuta na placu Gołuchowskich. O ile wiemy, jedyny w całej Galicyi. W Krakowie nikt się temu zajęciu niechce oddać, a może posterunek taki jest tam zbyteczny. U nas opłaca się on tylko przez niedzielę i poniedziałek, względnie w dnie poświąteczne.

— Co pan chce — rzekł lwowski pucobut naszemu interwiewcy — żyć z takiego interesu niemożna, bo konkurencya duża. Każda służąca i każdy stróż pucuje buty, a jak nie, to je każdy sam sobie wypucuje. U mnie daje tylko pucować, gdy musi.

— Dlaczego musi? Dlatego, bo un sze wagabundował cały noc i idzie rano do biura, to un niechce, aby jego szef zobaczył zabłocone nogi. U mnie są klienty same nocne wagabundy, co chcą rano elegancko wyglądać. A pan wie, co jest elegancya: wyprasowany spodnie i wyglancowany kamaszki.

— Ile zarabiam? Rozmaity. To zależy od suchy błoto albo od mokry błoto. Jest suchy błoto, to kamaszki prędko si pucuje. Eins, zwei. Ale z mokry skóra, nim puści glanc, jest wielgie kłopot. Jednemu goszcz pucuje, to drugi tymczasem uczeknie, bo un si spieszy. Un cały noc baniaczył, a teraz to un nima czasu na minuty albo pół... Płacą? Różnie płacą. Najlepszy goście to są pijane. Taki gość zapłaci nieraz i korone. Czasem, jak un już zdrów, to wróci za pary godzin i robi gewałt o resztę. Ale ja reszty nigdy takiemu nie wydaje. Niech un bedzi lepi porządny człowiek. Pan pyta o najmniejszy takse? Najmniejszy to jest cent. Ale to tylko dla bardzo bidne żydki, dla taki chore, co rano przyjechał i idzie do doktora, to un musi mieć do wizyte czyste nogi. Ja mam ali jednego goszcz, który już piąty rok czyści sobi u mni kamaszki i zawsze mówi, co un nima drobnych. Un mi już winien trzydzieści koron i zawsze powi: na drugi raz! A ten drugi raz nie bedzi nigdy. Zo a ganef. Czy un może do wódki albo do dziewczyny powiedzieć: na drugi raz!? A mnie tysząc razy tak mówi. Schlag soł in treffen!

Przygoda turystów.

(Do ryciny).

W Selzthal paru turystów było świadkami przykrej katastrofy, której ofiarą o mało nie padli i sami turyści. Jadąc wąwozem, tuż pod stokiem wysokiej góry, zasypani zostali lawiną pni drzewnych i kamieni, która ze skały na nich spadła. Przyczyną była nieuwaga pracujących przy ścinaniu drzew robotników. Nieumocowali oni należycie ściętego pnia i ten stoczył się na dół, porywając za sobą trzech ludzi, którzy ponieśli ciężkie rany i ulegli złamaniu rąk, nóg i żeber. Turyści, choć sami poszwankowani, zajęli się ratunkiem robotników, ale nim zjawili się lekarze, dwóch z nich zmarło od poniesionych obrażeń.



W tramwaju.

Starszy pan, dostatnio odziany i zdrowo wyglądający, rozparł się w najlepszym kącie wagonu.

Wchodzi nizki, otyły jegomość, także nie pierwszej już młodości i mocno sapiący.

Chwilę przystaje w drzwiach i rozgląda się.

— ... Kochany pan Maciej! woła do tego, siedzącego w rogu wozu — co za szczęście! — i sadowi się koło niego.

— Pan Ignacy... proszę... co za niespodzianka — odwzajemnia się pan Maciej. Kopę lat nie widzieliśmy się.

— ... Doprawdy, że kopę, jeszcze na weselu nieboszczki ciotki Petroneli.

— Prawda... nieboszczki Petroneli. Wzdychają. Pauza.

— A cóż to mego dobrodzieja do Lwowa sprowadza? — pyta p. Maciej.

— ... Interesa łaskawco — interesa...

— Ach! te interesa...

— Sąsiad dobrodziej także... tego... w interesie... E... chyba nie; Polana, przecież to znakomita podolska gleba, tysiąc morgów, młyn, trzy karczmy...

— Kochanemu panu także wiatr w oczy nie dmucha, — Wyrka — wioska pięknie zagospodarowana, lasy, ryby, grzyby.

Pan Ignacy wzdycha tak ciężko i żałośnie, że aż ze współczucia zadrzała elektryka.

— ... Wolne żarty, wolne..., a jednak trzeba było ją sprzedać.

— O? dawno?

— A jakoś przed miesiącem... i to szczęście, że znalazłem dobrego kupca.

— Proszę?

— A tak... nie bał się ani strajków, ani reformy wyborczej — i zapłacił dobrze gotówką.

— Któż to taki?

— Mój poczciwy pachciarz mleka.

Cisza, tylko wóz huczy i podskakuje.

— Miał pan szczęście — wzdycha teraz p. Maciej.

— Dopiero chyba będę miał...

— ?

— Bo trzeba sąsiadowi wiedzieć, że za uzyskaną gotówkę, kupiłem znaczny bardzo majątek na Węgrzech i tam się przenoszę z rodziną.

— Doprawdy?

— Najpóźniej za dwa tygodnie. Płaciłem morg po 300 K, a tu sprzedałem po 600 K i pozbyłem się w dodatku raz na zawsze socyalistów-ludowców, wszystkich czarnych i czerwonych dyabłów. A jak tam sąsiad wychodzi z nimi?

— Ja... ja... odpowiada cicho pan Maciej... ja sprzedałem także Polanę...

— Fi!!...

— i kupiłem kamienicę na Łyczakowie. Mam 24 procent czystego dochodu i codziennie chodzę sobie do kasyna.

— Kawiarnia wiedeńska — krzyknął konduktor.

Wyszli. Zasłyszałem jeszcze.

— Numer?

— 24.

— A syn?

— Jest praktykantem przy namiestnictwie.

— Nim odjadę... na Węgry odwiedzę sąsiada.

— Bardzo proszę. Pierwsze piętro na prawo.

Uścisnęli sobie prawicę.

. . . .

Niewiem czy tej rozmowy nie podsłuchał także p. Tadeusz Cieński. Ale on tramwajami nie jeździ, więc musiał mieć inne relacye, pisząc znaną odezwę swoją do szlachty galicyjskiej. *Kos.*

Pod końskimi kopytami.

(Do ryciny).

Wczoraj rano na ulicy Czarneckiego jakaś kobieta, pragnąc szybko przejść na drugą stronę ulicy, pośliznęła się na gołoledzi i upadła tuż przed pędzącym właśnie wozem rzeźniczym. Woźnica wstrzymał wprawdzie konie, ale mimo to kobieta dostała się pod kopyta i wskutek uderzenia podkowy w głowę zalała się krwią. Ból jej jednak był niczem w porównaniu z desperacyą za koszykiem i wiktuałami, który wypadł jej na ziemię, a jaja, mleko etc. uległy zniszczeniu. Kilka przechodni złożyło się na koronę dla biedaczki, poczem ta, obwiązawszy fartuchem zranioną głowę, pobiegła na Rynek za nowemi zakupami.

Z za kulis Rady miejskiej.

Lwowska Rada miejska była wczoraj widownią małego skandalu. Na posiedzeniu tajnem miano obsadzić posadę adjunkta rachunkowego. Sekcya organizacyjna zaproponowała do tego awansu praktykanta p. St. Olszewskiego, pomijając 11 starszych od niego rangą i służbą asystentów! Rada niemogła się zgodzić na coś podobnego i wywiązała się olbrzymia dyskusya, której przebiegu, ze względu na tajność obrad, niepodajemy. Trwała ona od 8 do 12 w nocy i panowie radni nagadali sobie podczas niej dużo prawdy. Ostatecznie adjunktem został asystent Z. Boznański, a p. W. Dziędzielewicz, T. Osiadacz, St. Olszewski i St. Komarnicki mianowani zostali asystentami.

Do rangi oficyałów posunięci zostali manipulanci A. Kattner, G. Muszyński, D. Rudy, A. Stöckl i J. Grefner.

Na wczorajszem posiedzeniu przyjęto też z żalem do wiadomości przejście w stan spoczynku st. radcy magistratu Kazimierza Strzelbickiego, jednego z najsympatyczniejszych i najbardziej zasłużonych urzędników gminnych.

Wczorajszy wniosek sekcyi organizacyjnej, która chciała się dopuścić tak jaskrawego nadużycia, powinien doprowadzić do jak najrychlejszego stworzenia „trybunału nominacyjnego“, któryby rozstrzygał o awansach i zamknął drogę protekcyom, i to tak rażącym, i — mówiąc łagodnie — *śmiałym* protekcyom!



Tramwaj na Bajki.

„Tramwaj na Bajki“, jak popularnie ochrzczono nową linię tramwaju elektrycznego na ul. Krzyżowej i 29. Listopada, został już ukończony i wczoraj odbyła się próba, po której nastąpi oddanie do użytku publicznego. Linia cała mierzy 1970 metrów, i staje się wielką wygodą dla wszystkich wzdłuż niej zamieszkałych.

Kończy się ona na gruntach p. Franca, właściciela fabryki gipsu, który na końcowej stacyi zamierza urządzić rodzaj ludowego parku, z wielką restauracyą, stawem, strzelnicą, karuzelami itd. Sfinansowaniem tego projektu zajmuje się radny miasta p. Wixel. Park taki, rodzaj wiedeńskiego Prateru, przyczyniłby się do wzmożenia frekwencyi na tej linii, zatem i zmniejsza się ryzyko gwarancyi, jaką co do rentowności tej linii musieli przyjąć na siebie właściciele przydrożnych gruntów. Sam pomysł jeszcze o tyle poparcia godny, że odciągnie on najniższe warstwy od zabaw za drągiem, gdzie główną atrakcyę stanowią szynk i lutrynek.

Najbliższą linią kolejową będzie dotychczasowa konna, poczem zbudowany zostanie tramwaj na Pohulankę, o którym jeszcze niewiadomo, jaką pójdzie ulicą: Zieloną czy Kochanowskiego. Toczy się jeszcze o to bój podziemny, bo tak kamienicznicy jednej jak drugiej ulicy pragnęliby podnieść rentowność i cenę swych domów. Opinja i zdrowy rozum przemawia za ulicą Kochanowskiego, jako lepiej zabudowaną i posiadającą liczne bocznice. Ale nim co do tego decyzya zapadnie, upłynie jeszcze dużo złej krwi i rozpłynie się dużo intryg i zabiegów o tę złotonośną żyłę.

Hypnotyzowani zbrodniarze.

Nowoczesna kryminalistyka notuje wiele wypadków zbrodni, które popełniono zapomocą hypnotyzmu.

Osoby zahypnotyzowane, a temsamem pozbawione odpornej woli, dopuszczały się różnych zbrodni, a między innymi morderstwa i kradzieży. Gdyby nie hypnotyzm, prowadzenie się i postępowanie tych nieszczęsnych ofiar byłoby bez zarzutu.

W Berlinie, w r. 1890 odbył się proces, w którym niejaki Bompard został skazany na 20 lat więzienia za zabójstwo woźnego ze sądu. Zbrodnię popełnił zahypnotyzowany przez swoją kochankę. Po 13 latach kary został uwolniony z więzienia.

Niejaki Chambige zakochał się na zabój, w pewnej mężatce. Gdy wszelkie środki, jakiemi pragnął pozyskać względy pięknej kobiety okazały się bezskutecznymi, za pomocą suggestyi sprowadził ją na drogę występną, tak, że zapomiała o obowiązkach żony i matki, wyłącznie jemu się oddała i służyła za ślepe narzędzie do różnych występków, które uprawiał Chambige.

Niedawno we Wiedniu rozegrała się zajmująca rozprawa sądowa. Baletnica Karolina Ulrich oskarzoną została za oszczerstwo. Podczas rozprawy wyszło na jaw, że Ulrich napisała list oszczerczy pod wpływem suggestyi swego męża. Ulrich znęcał się nad żoną, kąsał ją, z ran ssał krew, wiązał, jedno spojrzenie męża wystarczało, aby truchlała ze strachu i ślepo wykonywała rozkazy okrutnego tyrana. W ten sposób powstał list, za który została oskarzoną.

Kryminalistyka także wykazuje bardzo wiele wypadków, w których oskarzeni usiłowali świadków hypnotyzować, aby zeznania dla nich pomyślnie wypadły. Środek ten nieraz dobrym skutkiem został uwieńczony.

Niektórzy prawnicy nosili się z myślą wprowadzenia hypnotyzmu do rozpraw karnych, wobec winowajców, mianowicie, gdy zabrakło dowodów, lub oskarzony do winy niechce się przyznać. Uczyniono nawet próbę na pewnym człowieku, obwinionym

o morderstwo. Osobnik ów pytany we śnie, opowiadał przebieg zbrodni z najdrobniejszymi szczegółami, podczas gdy na jawie pytany, wszystkiemu zaprzeczał.

Sąd jednakowoż uwolnił obwinionego, zeznania wydobyte podczas snu uznał za nieważnie, a temsamem odpadła myśl stucznego wydobywania zwierzeń, które miały służyć jako materyał dowodowy w rozprawach kryminalnych.

Pomysł ten nie jest zresztą nowy. W znanym dramacie „Żyd polski“ morderca również pod wpływem hypnotycznej suggestyi przyznaje się do zbrodni. Przed laty dramat ten uważano za fantazyę à la Juliusz Verne, — dziś stał się on naukową rzeczywistością.

Wielki Kraków i mały prezydent.

Nasz korespondent (R) pisze:

Panu Leowi, prezydentowi naszego miasta, zachciało się „Wielkiego Krakowa“! Zwołuje więc od czasu do czasu ankiety, na które zaprasza wzzystkich wójtów wsi okolicznych, i obiecując im złote gruszki na ich własnych wierzbach namawia: by spowodowali wcielenie swych gminnych obszarów w obszar Krakowa. Niedawno odbyło się jedno z tych licznych posiedzeń, na którem łebski wójt jednego z przysiółków krakowskich rzekł: „my sie ta przyłączyma, ino niech Podgórz da pocontek!“ I uparł się na tem zacięty mazur, wiedząc dobrze, że łatwiej p. Leowi zaglądnąć sobie lewem okiem w prawe ucho, jak tego dokonać, by miasteczko Podgórze pod Krakowem złączyć z Krakowem!... A tkwi w tej trudności nielada przyczyna.

Podgórze ma pieniądze, a Kraków tylko... worek. P. Leo, zamiast się pokłonić wielkorządcy Podgórza, p. Maryewskiemu, i wytłumaczyć mu, że we worku krakowskim będzie wygodniej pieniądzom podgórskim, i tak powoli, (nawet obiecanką orderu dla tego i owego rajcy z Podgórza) dojść do zamierzonego celu, to p. Leo, myślał, że obrał krótszą drogę urządziwszy targ bydła w Krakowie i zbojkotowawszy w ten sposób targowicę podgórską! Czy p. Leo sądził, że oderwawszy w ten sposób Podgórzowi 14.000 koron rocznego zarobku, tak mu dojechał, że przed nim skapituluje ?... Podgórzanie wskutek tej niefortunnej gry p. Lea, tak się zacięli, że o przyłączeniu Podgórza do Krakowa nawet sobie mówić nie dadzą. A ów wójt, który rzekł, że gminy się przyłączą, „ino Podgórze da pocontek“, do reszty pomieszał szyki p. Leowi. — Tak to zwykle bywa gdy rządzący zapominają, że tylko „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą“, ale nie pałką!“

Wiadomości z kraju.

Pożar miodowarni. W Rzeszowie, jak nam telegrafują, wybuchł wczoraj ogień w miodowarni Tennenbauma, który zniszczył całą miodowarnię i sąsiednie budynki. Szkoda wynosi około 30.000 koron.

Odpowiedzi redakcyi. N. N. Dziękujemy za życzliwość. Ilustracye stopniowo będą lepsze, co do prowincyi mamy nieco odmienne zapatrywania, ale dziś mimo to robimy początek.

KRONIKA.

Kalendarzyk: Dziś rzym.-kat. Ferdynanda, gr.-kat. *Bohojawł. Hospodne.*

Repertuar teatru miejskiego. Dzisiaj: „Moralność pani Dulskiej“, tragi-farsa kołtuńska w 3 aktach przez G. Zapolską.

W sobotę 19. b. m.: o godz. 3·30 pop. dla młodzieży szkolnej: „Warszawianka“, pieśń z r. 1831 St. Wyspiańskiego i „Pieśń przerwana“, obraz sceniczny w 1 akcie E. Orzechowskiej, i Z. Przybylskiego z panią Trapszo Ireną w głównej roli.

W sobotę o godzinie 7·30 wieczorem po raz drugi: „To coś“, operetka w 3 aktach Wiktora Leona i Leona Steina, muzyka K. Weinbergera.

W niedzielę popołudniu „Królowa Tatr“, wieczorem „Pajace i Przyjaciel Fryc“, P. Mascagniego.

W poniedziałek na dochód Tow. uczestników powstania 1863 r. staraniem Komitetu „Program składany“, między innymi po raz pierwszy „Za ojczyznę“, obraz sceniczny w 1 akcie przez Fr. Rawite Gawrońskiego.

Colosseum Hermanów. Od 16. do 31. stycznia. Nowość! Nocna robota, komedya w 1. akcie z francuskiego, M. Rouviera Panita, słynna wirtuozka na flecie. Klown, Artur & Fedora, niezrównana tresura psów akrobat. Julian Kratochwill, b. art. teatru miejskiego, 11 atrakcyj;

Ks. biskup Bandurski przyjmował wczoraj tj. 17. bm. deputacyę wydziału teologicznego, złożoną z Polaków i Rusinów uniwersytetu lwowskiego. Imieniem przybyłych przemówił ks. dr. Żukowski. Ks. biskup odpowiedział w słowach serdecznych, zaznaczając wdzięczność dla uniwers. lwowskiego, gdzie studya ukończył; wskazał na *potrzebę światłego i mądrego kleru, ogarniającą wszystkie potrzeby i kierunki wiedzy, i nić, która łączyć powinna uniwersytet ze seminaryum duchownem.*

† Justyn Lang, urzędnik ziemskiego Towarzystwa kredytowego i długoletni radny miasta Lwowa, umarł wczoraj po krótkiej chorobie. Nieboszczyk należał do najpilniejszych radnych, a praca jego, mianowicie w sekcyach, była bardzo sumienną i wydatną. Pogrzeb odbędzie się jutro w sobotę o 3. popołudniu, z domu żałoby przy ul. Chorążczyzna 18.

Teatr. „Moralność pani Dulskiej“ nieprzeminie tak prędko, ani w życiu, ani na scenie. Patrząc na tę sztukę, zapomina się, że to jest „robota“ tylko. Widz doznaje wrażenia, że autorka zapomocą najdokładniejszych aparatów Edisona podchwyciła, podsłuchała i podpatrzała codzienne domowe życie mieszczańskiej rodziny, nietylko tej, jaką my znamy i koło siebie widzimy, ale tej, jaka jest na całym świecie. To też sztuka p. Zapolskiej, na jakikolwiek język przełożona, cieszyłaby się wszędzie jednakiem powodzeniem.

Treść sztuki bardzo prosta. Jej jedynem zawikłaniem jest to, że młody Dulski, uwiódłszy służącę, chce się z nią żenić... Ten zamiar moralna pani Dulska uważa za szalony krok, i z biedą udaje się jej odwrócić katastrofę, dając Hance, zamiast męża uwodziciela, tysiąckoronówkę, którą to ofiarę młody Dulski kiedyś bogatą żeniaczką wielokrotnie powetuje.

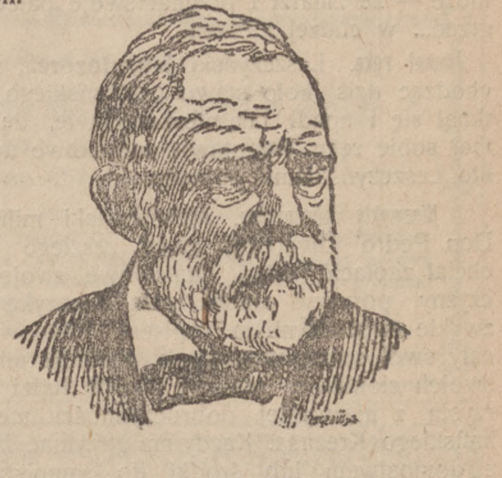
Rodzin tego typu, tego sposobu myślenia i działania, jest dziewięćdziesiąt procent w każdem społeczeństwie, i wyraz „kołtuny“ można odtąd zastępować „Dulskim“. To nazwisko staje się odtąd synonimem i ucieleśnieniem wszystkich wad i paskudnych stron wszechmieszczaństwa.

Grano sztukę koncertowo. Dulscy — pp. Gostyńska i Fiszer — byli znakomici. Dostrajała się do nich pysznie p. Czaplińska, jako godna takiej rodziny krewniaczka. Inni artyści grali również koncertowo. Pół ich w tem zasługi, a pół autorki, piszącej sztuki, które „same się grają“.

Autorkę wywoływano burzliwie i urządzono jej wspaniałą a zasłużoną owacyę.

Awantura dorożkarska. Na placu Gołuchowskich dwaj dorożkarze nr. 302 i 188 pokłócili się. Gdy słownie wypowiedzieć się nie mogli, użyli silniejszego argumentu — bata, i zaczęli się ćwiczyć batami. Tymczasem konie nr. 302 spłoszyły się i uniosły sanki wraz z wojowniczym właścicielem, który w drodze wypadł ze sanek, a konie dalej pomknęły. Dopiero na placu Krakowskim przechodnie zatrzymali spłoszone konie.

Najbogatszy człowiek świecie. J. Rockefeller, „król naftowy“ uchodził dotychczas za najbogatszego człowieka na świecie. Obecnie znalazł się w Ameryce bogatszy człowiek od „króla naftowego“, Fryderyk Weyerhauser, „król lasowy“, którego majątek obliczają na miliard dolarów, czyli 5.000 milionów koron.



Weyerhauser liczy lat 72, mieszka w St. Paul. Prowadzi życie bardzo skromne i nadzwyczaj jest oszczędny. Olbrzymiego majątku dorobił się na sprzedarzy lasów, których wartość z każdym rokiem niezmiernie wzrasta. We wschodniej Wirginii np. przed pięciu laty zapłacił Weyerhauser za szmat lasu 12.000 dolarów, a sprzedał go za 500.000 dolarów. Nic dziwnego, że majątek Weyerhausera wzrósł w krótkim czasie do niebywałych rozmiarów. Fachowi obliczyli, że za pieniądze, jakie posiada ten „król lasowy“, milion ludzi mogłoby się utrzymać przez sto lat bez trosk i kłopotów codziennych o środki do życia.

O papierosy. Kelnerom po restauracyach i kawiarniach wolno sprzedawać tylko rządowe papierosy, i to w drodze uzyskanej na to licencyi. Że jednak nie każdy jest zwolennikiem specyałów, więc kelnerzy przedawali przeważnie papierosy domowej roboty. Fiskus, który tak czy tak robił na swych fabrykatach tabacznych doskonały interes, od dawna zabrania sprzedaży robionych w domu papierosów, a niedawno zarządził poszukiwania za nieposłusznymi i pokarał ich dotkliwemi grzywnami, tak że teraz w żadnym lokalu publicznym „domowego“ papierosa ani na lekarstwo dostać nie można. Z rządowych zaś mają największy popyt damskie, sułtany i princessas, wszystkie, rozumie się, jako *male necessarium.*

W niektórych miastach przepis ten jest z okrutną bezwzględnością przestrzegany. W Wiedniu np. nikomu na myśl nie przyjdzie zażądać od kelnera domowego papierosa. Przed laty było inaczej. Ale raz, za ery Dunajewskiego, urządzono olbrzymią obławę na tych nierządowych trafikantów i skonfiskowano takie masy papierosów, że urządzono z nich dwa magazyny. Papierosy te uległy później zniszczeniu w tym samym piecu, gdzie się palą zużyte banknoty i obligacye państwowe. Była to „piramidalna fajka“, ów komin, z którego buchał dym palących się naraz kilkudziesięciu cetnarów tytoniu.

Samowolnych trafikantów ukarano wysokimi grzywnami. Samym kelnerom z Caffe Central wlepiono kilkadziesiąt tysięcy koron kary. Ogółem zaś ściągnięto do dwóch milionów.

Przed dziesięciu laty podobna historya powtórzyła się w Krakowie. Najdotkliwiej odczuł ją Lorenz, płatniczy kawiarni Szmidta. Wymierzono mu grzywnę 20·000 koron i zlicytowano dom, którego się dorobił długą pracą. Postrach ten miał długotrwały skutek. Rząd upiera się, aby sprzedawano tylko robione w jego fabrykach papierosy, bo inaczej fabrykacya papierosów z rządowego tytoniu rozwinęła by się na tak olbrzymią skalę, że fabryki rządowe nie wytrzymałyby z nią konkurencyi.

Zagrzał się. Na placu św. Teodora zauważył stójkowy, że 20-letni młodzieniec, Władzio Czarnik, włożył rączkę do kieszeni ja-

kiejś pani. Władzio spostrzegłszy, że za kołnierzem ma policyanta, drapnął. Dopiero na ulicy Słonecznej wpadł w sieć drugiego stójkowego, z których już nie wyplątał się. Na inspekcyi Władzio Czarnik tłumaczył się, że nie przypomina sobie o żadnej kieszeni jakiejś pani, a co do swojej rączki — być może — że zmarzł i pragnął swoje palce zagrzać... w cudzej kieszeni.

Złamał rękę. Leszczyński Jan, dozorca, przechodząc dziś koło stawu pełczyńskiego, potknął się i upadł tak nieszczęśliwie, że złamał sobie rękę. Pogotowie ratunkowe udzieliło Leszczyńskiemu pomocy.

Niezwykły dobroczyńca. Meksykański milioner Don Pedro Olvaredo, który zeszłego roku chciał zapłacić długi państwowe swojej ojczyzny, poruszył znowu całą Amerykę niezwykle dobroczynnym zapisem. Mianowicie; cały swój ogromny majątek podzielił między swoich ziomków, tak, że 20.000 ludzi skorzysta z niezwykłej dobroczynności meksykańskiego Krezusa. Każdy ma otrzymać farmę z domostwem lub środki do samoistnego prowadzenia interesu. Wielką sumę przeznaczył także na zakładanie szkół. Życie tego, milionera jest bardzo skromne. Sam goli się, strzyże sobie włosy, czyści buty i sam gotuje potrawy dla siebie. Po śmierci żony, przez długie lata sam wychowywał troje dzieci.

Jurko w liberyi uciekł z Rawy do Lwowa. Zdawało się, że chlebodawcy nie tyle rozchodzi się o Jurka, ile o liberyę, tymczasem chlebocawca prosi policyę, aby schwytała i dostawiła Jurka Ussyka, nawet bez liberyi.

Czeladnicy piekarscy przed sądem. Ponieważ prokurator wniósł odwołanie, co do nizkiego wymiaru kary, jaką wymierzył trybunał robotnikom piekarskim, a co do uwolnionych zgłosił prokurator zażalenie nieważności, wobec tego wszystkich oskarżonych zatrzymano nadal w więzieniu.

Przedślubna podróż. Pokojówka, Hania Kowalska, miała szczery zamiar przejść się za mąż. Ponieważ na rozpoczęcie gospodarstwa nie miała najkonieczniejszych rzeczy, dlatego postanowiła podzielić się naczyniem państwa, u których służyła, przywłaszczając sobie różne rzeczy ze sprzętów kuchennych.

Troskliwość Hani nie znalazła w policyi uznania, doradziła Hani przedślubną podróż do... kozy.

Burbon w roli członka tow. ochrony zwierząt. Wasyl Burbon sprzedał 3 fury cegieł zamiast odwieść na budowę p. Bardachowej. Tobiasz Fischmann poszkodowany, ocenia szkodę na 44 koron. P. Fischmann twierdzi także, że Burbon, sprzedawszy trzecią ekspedycyę cegieł, zostawił konie z furą na ulicy na opatrzność boską, a sam znikł, i dopiero po trzech miesiącach p. Fischmann spotkał Burbona na ulicy, i kazał go aresztować. Burbon na obronę swoją podał, że cegłę odebrał zarządca budowy p. Bardachowej, a konie zostawił na ulicy, aby odpoczęły... Dyżurny komisarz p. Tauer odesłał Burbona także na odpoczynek do ... kozy.

Żywcem pogrzebany. W guberni Tulskiej, we wsi Jegorówka zaszedł tymi dniami okropny wypadek. Mianowicie pogrzebano na cmentarzu chłopa, który — jak zdawało się — umarł. W dzień po pogrzebie, pracujący ludzie na cmentarzu usłyszeli przytłumione krzyki i wołania, wydobywające się z grobu. Przestraszeni robotnicy porzucili pracę i uciekli z cmentarza. Zanim dowiedziały się władze i odkopano grób, upłynęło dwa dni czasu. Oczecnym przedstawił się okropny widok. Nieboszczyk cały był zakrwawiony, palce miał pogryzione. Palce gryzł w rozpaczy, gdy obudził się z letargu i spostrzegł, że spoczywa w grobie. Nieszczęśliwy był jeszcze młodym człowiekiem, a gdy go odkopano, całą głowę pokryła mu siwizna z rozpaczy, w jakiej przebył dwie doby w grobie. Ocalenie swoje zawdzięcza tej okoliczności, że przysypano go ziemią zamarzniętą w grudy, wskutek czego powietrze miało dostęp do grobu, i tym sposobem uniknął śmierci przez uduszenie.

Dziecko olbrzym. W Malsztacie koło Saarbrücken pewien wachmistrz ma synka, który liczy rok i 9 miesięcy, a waży 92 funtów! Tłuścioch jest zdrów, silny i żwawy, wzbudza ogólną sensacyę. Wysokość malca przenosi 1 metr. „Mały Herkules“ ma młodszego braciszka, który wyglądem wywołuje wprost podziw, liczy bowiem zaledwie 5 miesięcy, a waży już 52 funty!



Piorun w ręku człowieka. Uczony i wynalazca amerykański Edison, wynalazł nowy środek wybuchowy, który raczej jest siłą, niż, materyą wybuchową, tak, że jest nieszkodliwy dla rzucającego. Pocisk dynamitowy lub nitrogliceryny rozszałpałby rzucającego.

Obecni przy próbach, robionych, przez Edisona, widzieli, jak z rąk wynalazcy spadały pioruny i rozbijały skały w żwir i piasek. Sposób sporządzenia piorunu Edison ukrywa w tajemnicy.

TELEGRAMY.

Rada państwa. *Wiedeń.* Izba posłów po odczytaniu wniosków i interpelacyj przystąpiła do dalszej dyskusyi nad ustawą o kulturze wina. Minister rolnictwa hr. Auersperg oświadczył, że rząd odnosi się sympatycznie do tej ustawy, która usunie pewne niewłaściwości w produkcyi wina sztucznego.

Hiszpania demonstruje. *Madryt.* Okręt wojenny „Pelajo“ wyruszył do Tangeru.

Egzekucya. *Warszawa.* Onegdaj wykonano wyrok warszawskiego sądu polowego, mocą którego skazani zostali na śmierć przez powieszenie, 18 letni Wojciech Winiarski i 21 letni Jan Berdek, za napad zbrojny na kasyera w Pradze.

Wybuch wulkanu. *Nowy Jork.* Donoszą z Honolulu, że wulkan Mauna Loa na wyspie Hawaii wyrzuca lawę na odległość pół mili.

Pruskie gwałty. *Poznań,* Wczoraj toczyły się 4 rozprawy przeciw nakładcy i redaktorowi *Przyjaciela ludu* p. Michałowi Majewskiemu, który niedawno temu w 5 wypadkach został skazany na na 570 mk. kary. Inkryminowane artykuły zawierały wiadomość o strajku szkolnym. Sąd skazał go na 4 grzywny, wynoszące łącznie 410 mk.

Wybory w Poznaniu. *Poznań.* Z okazyi zbliżających się wyborów do parlamentu podzielono miasto Poznań — jak donosi *Dziennik Poznański* — na 42 okręgów wyborczych a na każdy okręg zamianowano przewodniczącego i 2 zastępców. Tylko 6 Polaków zamianowano przewodniczącemi biur wyborczych, a ośmiu zastępcami przewodniczącego. Z Niemców zaś zamianowano 36 przewodniczącymi a 34 zastępcami.

Napad bojowców. *Warszawa.* Do Słowa donoszą, że do osady Wiśnice koło Horodyszcza przybyło przed kilku dniami na wozach około 20 mężczyzn i zabrało z filii pocztowo-telegraficznej z kasy 1212 rubli w gotówce, 1776 rubli w markach pocztowych; zaś w składzie monopolowym zrabowali ci sami napastnicy 2000 rubli i potłukli butelki z wódką, wartości kilkaset rubli. Oba napady trwały około 20. minut.

Z kolei państwowych. Dyrekcya kolei państwowych ogłasza: Ogólny ruch pociągów między Czarnym Dunajcem a Suchahorą został przywrócony.

Wybory w Warszawie. *Warszawa.* Rozdawanie kart wyborczych powierzono komisyi obywatelskiej, która rozdzieliwszy się na 12 sekcyj okręgowych, prawdopodobnie będzie spełniała tę czynność w mieszkaniach w tym celu najętych, lub ofiarowanych. Dzień rozpoczęcia tego urzędowania jeszcze nie jest oznaczony.

Masowe aresztowanie terrorystów. *Berlin.* Z Petersburga donoszą, że w ostatnich dniach uwięziono 70 terrorystów w rozmaitych dzielnicach, którzy — jak wynika z skonfiskowanych u nich papierów przygotowywali pomiędzy robotnikami powstanie i napad na bank państwowy.

Podczas nieobecności większej części wojska w Petersburgu z okazyi uroczystości Jordanu w Carskiem Siole, wywołać chciano zamieszanie i powstanie. Wielu wybitnych rewolucyonistów pouciekało przed samem uwięzieniem.

Prowokacje. *Warszawa.* Wczoraj na przedstawieniu w cyrku Cinisellego zrewidowano kilka osób. Publiczność zaniepokojono niepotrzebnie, gdyż niczego u nich nie znaleziono.

Łaska Skałłona. *Warszawa.* Generał gubernator Skałłon, ułaskawił Stefana Zarembę, skazanego za zabicie stróża cmentarza żydowskiego w Pilicy, Blocha, na karę śmierci. Co do innych skazanych wyrok został zatwierdzony.

Atak na prezydenta. *Kraków.* Na wczorajszem posiedzeniu Rady miejskiej r. Daszyński, wskazując na nową organizacyę stronnictw w radzie, zapytał prezydenta, czy prawdą jest, że nie informował należycie radnych w ważnych sprawach i czy po przekonaniu się, że przeciw temu występuje już teraz opinia większości, zechce wyciągnąć z tego konsekwencye.

Prezydent dr. Leo zaprzeczał, jakoby nie informował należycie radnych, a na pytanie, jakie wyciągnie konsekwencye z nowego ugrupowania się stronnictw, odpowiada, że żadnych konsekwencyi nie wyciągnie póty, póki Rada w swej większości udzielać mu będzie poparcia. Od jednej i drugiej grupy otrzymał zapewnienie, że może liczyć na ich życzliwe poparcie.

Nadesłane.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

Składownia tytoniu — gmach Skarbka poszukuje likwidatora, biegłego w rachunkach lub likwidatorki. Wiadomość tamże.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA: STANISŁAW BRANDOWSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI KOMANDYTOWEJ.
Z DRUKARNI »GOŃCA POLSKIEGO«, BRANDOWSKI & HEGEDÜS, POD ZARZĄDEM K. DOROSZYŃSKIEGO.